ROZMAITOŚCI.

Dnia 17 lipca, Nr 29. roku 1847.

Obraz z życia jednego z królów angielskich.

Sheridan, członek izby niższéj, za panowania Jerzego IIIgo, znany był z tego, że miał wiele długów, i że ich nie płacił. Jak wielu innym, tak i szkaradnemu, garbatemu krawcowi Gibson, który miał pokrzywione nogi, i najokropniéj się jąkał, winien był od 10 lat 100 funtów szterlingów.

Z początku przychodził krawiec z pokorą, z kapeluszem w ręku, i nie chcąc samemu panu się naprzykrzać, udawał się tylko do kamerdynera; to jednak nic nie pomogło, i biédak zawsze z kwitkiem odchodzić musiał. — Pomimo to wszystko nie tracił cierpliwości i odwagi, ponawiał swe prośby niezliczone razy. — Nakoniec ośmieliwszy się, postanowił krok stanowczy uczynić, i przyszedłszy jednego poranku, oświadczył kamerdynerowi, że nie ustąpi piérwéj, póki się osobiście z p. Ryszardem Sheridan nie obaczy, i nie rozmówi. — Sługa roześmiał mu się w oczy. — Krawiec nie dał się tém odstraszyć — został w przedpokoju, usiadł i czekał. — Jedna godzina przeszła, druga i trzecia, a krawiec siedział nieruchomy jak posąg z natężonem uchem i okiem... Wtém w przyległym gabinecie, ozwał się głos Sheridana wołającego na sługę. — Gibson uprzedził go jednak, poskoczył piorunem, w mgnieniu oka drzwi otworzył — i stanął przed osobą, z którą koniecznie rozmówić się pragnął.

»Czego żądasz Gibsonie?« spytał Sheridan »czemu tak gwałtownie wpadasz do gabinetu, w którym ja pracuję?«

»Sir Ryszardzie!« odrzekł krawiec, nie tracąc przytomności, »potrzebuję pieniędzy — wielu łaskawców dają mi robotę, lecz niestety! równie jak i ty nie płacą za takową. — Kupcy jednak od których biorę materyje, nie chcą już kredytować, i gwałtem żądają zapłaty — i tak dziś zobowiązałem się 100 funt. szterl. wyliczyć w pewnym sklepie na Grosvenor Square. — Jeżeli nie otrzymam téj sumy, którąś mi winien sir, stracę honor i sławę. — Sir Ryszardzie! na miłość Boga, zaklinam cię, oddaj mi te pieniądze — będę ci za to tak wdzięcznym, jak gdybyś mi je darował.«

Sheridan parsknął od śmiéchu — »Skądżeś wziął u szatana taką patetyczność majstrze?!... Nié mam przy duszy szylinga — a ty żądasz 100 funtów odemnie. Dałby Bóg abym je miał — nie pracowałbym wtedy, jak to dziś czynić muszę — alebym zaraz pięknéj Billington kupił dyjadem, którego sobie życzy.«

»Sir Ryszardzie, powtarzam ci, że mój kredyt, mój honor, moje życie na tych pieniądzach zależą — nie przeżyję hańby, ktora mi grozi!«

»Hańby Gibsonie? Pfe, ktoż to nazywa hańbą miéć długi i być za nie prześladowanym — owszem stosownie to jest z modą — a zatém i szlachetnie! — Idź Gibsonie, idź mój drogi — nie przeszkadzaj mi przy pracy. — Bóg z tobą!«

Nieszczęśliwy krawiec, otarł łzy po twarzy mu płynące — i zawołał żałośnie: »Musisz mi wypłacić, Sir Ryszardzie!«

Sheridan zadzwonił — sługa wszedł — i na skinienie swego pana, wziął natrętnika za ramię, i chciał go gwałtem za

drzwi wyprowadzić — ale krawiec uchwycił się silnie za nogę od stolika, na którym leżały papiéry i mnóstwo innych sprzętów — a szamotając się ze sługą, pociągnął go za sobą i przewrócił — z czego naturalnie nadzwyczajny powstał nieporządek. — W téjże saméj chwili weszło do pokoju dwóch młodych ludzi, którzy na widok tego co się działo, głośnym śmiéchem parsknęli.

»Brummel!« zawołał młodszy. »Zakładam się z tobą o 100 funtów, i trzymam za krawcem!«

»Dobrze, trzymam zakład za Johnem!« odrzekł król mody — »ciągnij Johnie!«

»Trzymaj się mocno garbku!«

»John, tego malca przezwyciężysz przecie?!«

»Gibson! bądź bohatérem!

»John, słabniesz?«

»Dobrze, majstrze — doskonale, gryź, i to się przyda — o 20 funtów więcéj się zakładam!«

Zanosili się od śmiéchu, klaskali, żartowali, tak jakby szło o walkę kogutów, lub pojedynek na pięści... nareszcie biédny Gibson zadyszany, skrwawiony, z przekrzywioną peruką, z rozdartémi sukniami — wypchnietym został za drzwi. — Młodzieniec który jego stronę trzymał, podał worek Brummlowi: »Wygrałeś« rzekł »i oto masz pieniądze.« — »Sheridanie, mówił daléj, »Czy nie pojedziesz ze mną do Walkera. — Robi mi nowy pojazd, podług niewidzianéj jeszcze w Anglii mody — chciałbym ci się przytém w jednym punkcie poradzić.«

»Wiész, milordzie« odrzekł Sheridan z uśmiéchem, »że dzisiaj w izbie niższéj, rozprawiano będzie o bilu, który żąda corocznie dla królewicza, od dawna już pełnoletniego, 50.000 funtów szterlingów. Kanclerz Pitt będzie tę piękną myśl, która od samego króla Jerzego wychodzi, popiérał — Fox zaś musi ją zbijać. — Czyż więc myślisz milordzie, że Sheridan, którego królewicz swą przyjaźnią zaszczyca, przy téj tak ważnéj okoliczności i rozprawie, milczéć może? Pozwólcie mi więc pozbiérać te papiéry — abym się przygotował na mowę, którą miéć zamyślam — Czy nie jesteś mego zdania, milordzie?!«

»Wcale nie mój kochany« — odrzekł młodzieniec »mój nowy pojazd jest rzeczą daleko ważniejszą — nieprawdaż Brummel? Pójdź Sheridanie, Walker nas oczekuję — zrzuć twój szlafrok, i spiesz się.«

»Właściwie macie racyją« odrzekł członek izby niższéj po krótkim namyśle, »pojadę z wami — i niezawodnie lepszą będę miał mowę, jak się na nią nie przygotuję.«

* * *

Wyszli na ulicę — wsiedli do pojazdu — a małe pękate stworzenie, bardziéj do małpy — jak do człowieka podobne — zacięło konie — ruszyli..... Po drodze rozmawiali o boksowaniu, o pojedynkach, aktorkach, wyścigach konnych i t. p.

Znaczną już część drogi ujechawszy, zbliżali się ku Tamizie — gdy młody człowiek w powozie siedzący zawołał: »Co widzę? co znaczy tłum ten koło Tamizy — w istocie ktoś tonie! — Stój!« Konie wstrzymane stanęły jak wryte — a młodzieniec migiem wyskoczył z powozu — rzucił się w rzékę, i po krótkiéj ale niebezpiecznéj walce z żywiołem, wyciągnął tonącego na brzeg. »Ach, to nasz dobry znajomy, majster Gibson!« wykrzyknął, gdy już oba byli w bezpieczeństwie. »Jakimże przypadkiem wpadł w wodę?«

»To nie przypadkiem« odrzekł ktoś z tłumu — »to z własnéj woli — to samobójstwo, ja sam widziałem, jak skoczył w rzékę.«

Młodzieniec spojrzał na Sheridana tak ostro, że tenże spuścił oczy ku ziemi, zawstydzony; a potém odwróciwszy się do ludu, zawołał: »zanieście tego biédaka do mego pojazdu — ja go zawiozę do domu«.

»Młoda dama, mieszkająca tu obok, już dała rozkaz, aby go do niéj zaniesiono« — rzekł majtek »a to nawet lepiéj będzie.«

Na te słowa odwrócił się młodzieniec i ujrzał młodą kobiétę nadzwyczajnéj piękności, która równie z pojazdu swego wysiadła, chcąc nieść pomoc nieszczę-

śliwemu. — Na spojrzenie to, mocno się zarumieniła — w oczach jéj jednak odbijał się wyraz wdzięczności i szacunku, za ten tak szlachetny uczynek.

»Kiedy tak, to będę posłusznym« rzekł, kłaniając się jéj z uszanowaniem, a wziąwszy Gibsona jak dziecię na ręce — kazał sobie wskazać mieszkanie młodéj damy — i zaniósł go tamże. Położono Gibsona na łóżko, i wszelką mu pomoc dawano. Szczególniéj zaś młoda kobiéta, zajmowała się nim z szczérą troskliwością. — Młodzieniec stał obok w milczeniu, nieruchomy, z wzruszeniem spoglądając na tę piękną scenę, a gdy Gibson do przytomności powrócił, spostrzegła miss Fitz-Herbert dopiéro, że jest jeszcze ktoś w pokoju, cały przesiąkły wodą.

»Ponieważ już mogę być spokojnym o tego biédaka — oddalę się« — rzekł młodzieniec. »Nie śmiem prosić pani o pozwolenie przyjścia tutaj, i podziękowania jéj za ten tak piękny i szlachetny uczynek. — Tymczasem dozwól tylko, abym temu biédakowi, którym się tak spaniale zajęłaś, ofiarował te banknoty.«

To rzekłszy, wyszedł — a gdy wsiadał do pojazdu, lud tłumnie zgromadzony, wołał z uniesieniem: »Niech żyje książę Wales!«

Miss Klara Fitz-Herbert przystąpiła do okna, chcąc widzieć odjeżdżającego — lecz gdy usłyszała wykrzyk ludu, zbladła i padła prawie bez czucia na krzesło.

»Książę Wales!« powtórzyła »dziedzic korony angielskiéj!«

Nazajutrz miss Klara odebrała bilet następującéj treści: »Osoba, która wczoraj była tak szczęśliwą przypadkiem poznać miss Klarę Fitz-Herbert, prosi ją o pozwolenie korzystania z téj znajomości« — na który odpisała: »Odwidziny Jego król. mości księcia Wales, są zaszczytem, którego miss Fitz-Herbert przyjąć nie śmié — i za który najuniżeniéj dziękuje.«

Pomimo tego — przecie książę przyszedł — lecz nie zastał młodéj damy — wyjechała do Irlandyi. Nazajutrz książę był w drodze — do Dublina!

* * *

Byłato niedziela — pobożni mieszkańcy Dublina, powracali własnie tłumnie z kościoła katedralnego. — Jedno spojrzenie dostateczném było księciu, aby odkryć w tłumie tę, któréj szukał — pomimo czarnego welonu, twarz jéj kryjącego. — Szła wsparta na ramieniu jakiejś podeszłéj damy — lecz na widok księcia zbladła, a wyraz podziwienia i przestrachu przebiegł po jéj twarzy. Książę wysiadł z pojazdu, ukłonił się damom — a ciotce Klary podał swe ramię: »Mam wiele ważnych rzeczy do powiedzenia pani» rzekł »pozwol zatém, abym ją do domu odprowadził.« Ciotka przyjęła ramię nieznajomego, nie zgadując coby to znaczyć miało? Po chwili przybyli do domu, gdzie mieszkały te dwie panie.

»Klaro!« rzekł książę »z mojéj przyczyny opuściłaś Londyn, lecz ja bez ciebie żyć nie mogę, zwłaszcza od chwili w któréj cię ujrzałem.«

»Słuchaj mnie, milordzie,» odrzekła miss Klara, uzbrajając się w odwagę, lecz ze łzami w oczach i bladością na twarzy — »miéj litość nad biédną dziewczyną, któraby nie zniosła téj hańby, a może nie posiadałaby dość mocy do uniknienia takowéj. Wyznaję ci to otwarcie, aby się poddać pod obronę twojéj uczciwości. Opuść mnie milordzie — abym biédna dziewczyna starać się mogła zapomniéć to, co może całe życie wspomnieniem mi będzie!«

»Kochasz twoją siostrzenicę pani« rzekł książę do ciotki »i nie ulękniesz się uczynić ofiary dla jéj szczęścia. — Czy podejmiesz się pani opuścić Angliją ze mną? Jak tylko staniemy na kontynencie, kapłan pobłogosławi związek miss Klary Fitz-Herbert z Jerzym Wales. Daję na to moje słowo honoru!«

»Królewicz!!« zawołała starsza dama z przestrachem. Miss Klara nie wiedziała do czego się ma dać nakłonić: »Nie milordzie« rzekła »nie mogę przyjąć takiéj ofiary — nie życzę sobie bowiem szczęścia, któreby było twojém nieszczęściem. — Przez ten związek ściągnąłbyś

gniew króla, ojca twego — i straciłbyś przychylność narodu.«

»Anglija z chlubą przyjmie swą córę na tron — ojciec mój pobłogosławi narodowi — i tym, którzy moje życie przemienić potrafili. — Miss Klaro, nie odpychaj mnie, ofiaruję ci koronę, cnotę i szczęście!«

»Ale ja jestem katoliczką — moja wiara nie jest twoją milordzie!«

»Irlandyja tym sposobem ujrzy koniec swych nieszczęść, mając na tronie królowę katolicką. — Będziesz aniołem pokoju Klaro, który cierpienia biédnego tego narodu w szczęście przemienisz.« Miss Klara zalała się łzami. »Droga Klaro,« mówił daléj książę — »u nóg twoich oczekuję zbawczego słowa od ciebie — wymów je — a innym się stanę człowiekiem, godnym tronu, na który mam kiedyś wstąpić. Jeżeli mi zaś odmówisz, wtedy przypisać sobie będziesz musiała wszystkie szaleństwa które popełnić mogę. — Klaro! oczekuję od ciebie wyroku życia lub śmierci!«

»Książę! błagam cię, dozwól mi roku do namysłu — będę Boga prosić i błagać aby mnie oświecił i nauczył, czy mogę ci wierzyć milordzie! Rok jeden — posłuży ci także do wyczytania w własném twojém sercu!«

»Rok« zawołał książę z rozpaczą, »rok cały przepędzić, nie widząc i nie słysząc ciebie, czy chcesz mojéj śmierci Klaro? Czy myślisz, że w tak ważnéj rzeczy działam bez namysłu, że igram całém twojém szczęściem — że idę za popędem chwilowym? O nie miss, miłość którą we mnie wzbudziłaś, nie umié i nie może żartować! Czyż śmiałbym ja inaczéj mówić do ciebie!?«

Tak wielkiéj niepokonanéj miłości nie można się było oprzéć — w trzy dni pojechała miss Klara z swą ciotką na kontynent. W dzień późniéj nadjechał książę Wales — a ślub pięknéj Irlandki z późniejszym królem Jerzym IV odbył się w Paryżu, w kaplicy księcia d'Orleans. Gdy młoda para wróciła do Londynu, zaczęto nawet dziwić się nad rządném życiem królewicza. Żył spokojnie — z uwagą i poświęceniem się zajmował się stanem państwa — nie obcował już z najzaciętszymi członkami opozycyi — jak to piérwéj czynił. — Z rozrzutnego stał się skromnym i oszczędnym — rozwiązłe życie zupełnie opuścił — a wszystkiego tego, była tylko piękna jego małżonka przyczyną. — Najszczęśliwsi byli — gdy w wieczór szli na przechadzkę do oddalonego przedmieścia, gdzie mieli najęte spokojne mieszkanie. Anglija winszowała sobie takiéj odmiany — a miss Klarze oddawano całą zasługę. Często przed teatrem otaczano ich pojazd, i głośne dawano oznaki ukontentowania i entuzyjazmu.

Dowiedział się o tém Jerzy III — i poranku pewnego powołał do siebie syna swego, i rzekł doń: »Zaślubienie twoje z księżniczką Brunświcką Karoliną jest już ułożone.« Książę zbladł i struchlał — lecz odrzekł spokojnie: »Nie mogę wejść w związek, który mi wasza królewska mość proponujesz.« — »A to czemu?« zapytał król — »Bo już inną za żonę pojąłem.« — »Słyszałem ja coś o tém głupstwie« rzekł Jerzy III, ruszając ramionami. »Księżniczka Karolina będzie już tutaj za dni 14.« — »Mogę tylko powtórzyć, to com powiedział.« — »Niezapominaj, że jest Tower dla nieposłusznych synów« rzekł król — i odszedł. Gdy królewicz wrócił do Klary, ona wszystko zgadła, nim usta otworzył. »Wiém wszystko« rzekła płacząc »żałujesz teraz nierozsądnego kroku twego. — Biada mnie gdybym cię jeszcze na gorszy gniew ojca twego wystawić miała. — Rozłączymy się — znajdziesz łatwo prawa, które nasz związek za nieważny ogłoszą — przed ludźmi. — Błagać będę Boga, abyś był szczęsliwym.« — »Ach droga Klaro — nie przyjmę téj ofiary — oprę się gniewowi ojca mojego.« — »Nie, drogi przyjacielu — nie czyń tego — wystawiłoby cię to na nowe nieprzyjemności — i na większy żal. — Bądź zdrów na wieki!« Książę zalał się łzami, lecz Klary już nie było..... W miesiąc potém ożenił się z księżniczką Karoliną Brunświcką — a miss Klara

Fitz-Herbert, była już wtedy nowicyantką w klasztorze Urszulinek w Niderlandach. K. L.

Przejednanie.

Byłoto w r. 1776. Amerykanie powstali w bohaterskiéj obronie swoich swobód i niepodległości przeciw ciemięztwu Anglii, i obrali wodzem naczelnym Washingtona. Ten świetnémi zwycięztwy odpowiedział zaufaniu, jakie jego rodacy w nim położyli, i posunąwszy się aż pod New-Jersey, rozłożył się obozem nad brzegami rzeki Delaware, w niejakiéj odległości od Princetown, w obliczu armii nieprzyjacielskiéj. Wojska angielskie zajęły były nadzwyczajnie korzystne stanowisko na rozległéj równinie, chronionéj z jednéj strony rzéką, z drugiéj zaś górami, i zdały się tam zupełnie być bezpiecznémi. Atoli wódz amerykański przywołał Lewsona, jednego z najwaleczniejszych oficerów, i kazał mu wziąć oddział dobranego żołnierza, aby się z nim przesmykami gór, na tamtą stronę obozu angielskiego przedarł, i z tyłu na nieprzyjaciela uderzył, podczas gdy on sam z resztą armii z przodu na szyki angielskie natrze. Łona roznieconego ognia na niewielkim, poblizkim wzgórzu, któréj jednak Anglicy dostrzedz nie mogli, ile że ją druga wyższa góra zakrywała; miała dla wodza naczelnego być znakiem, iż oddział w tyle obozu angielskiego stanął, i że pora rozpoczęcia bitwy nadeszła.

Zarazem otrzymał Lewson zalecenie jaknajbaczniejszéj ostrożności, aby u nieprzyjaciół podejrzenia nie wzbudzić; gdyż nie podpadało wątpliwości, że gdyby się Anglicy o zamierzoném poruszeniu domyślili, cały waleczny oddział mógł był z łatwością być osaczonym i w pień wyciętym. Młody oficer, dumny z otrzymanego zlecenia, oddalił się, i stanął nazajutrz pod wieczór na oznaczoném miejscu. Uszykowawszy swój oddział w przyległym lasku, przystąpił do wyboru żołnierza, który miał dać znak umówiony. Mogło to być poruczone tylko obeznanemu z okoliczną miejscowością krajowcowi, aby uniknąć nieprzyjacielskich posterunków, które w niejakich odstępach daleko się rozciągały. Prócz tego musiał to być żołnierz, któryby gotów był życie poświęcić, gdyby tego potrzeba się okazała. Blask ognia mógł w obozie angielskim być dostrzeżonym, a biada natenczas nieszczęśliwym, którzyby sobie sami w ten sposób pogrzebną zażegli pochodnię! Gdy Lewson wahał się, kogo z liczby zgłaszających się ochotników miał wybrać; wystąpił z szeregu stary żołnierz, imieniem Dick, i wskazując ręką na piersi świéżemi bliznami okryte, ozwał się:

„Widzisz po tych ranach, które odniosłem, że mam jeszcze dość odwagi i siły, aby za ojczyznę do boju stanąć; aż po dziśdzień nie żałowałem życia, i dopóki jeszcze kropla krwi w żyłach mi płynie, należy ona ojczyźnie. Jeźli zaś poświęcenie i służby moje godne są jakiéjkolwiek nagrody, tedy możesz mu udzielić takowéj, wybierając mojego syna-jedynaka, mego ukochanego Dżona, do dania umówionego znaku.. Wychowany w tutejszych górach, zna on każdą ich ścieżkę... Jest on moim synem, a więc równie jak ja odważnym; jest Amerykaninem, a więc kocha swoję ojczyznę.”

»Dobrze więc, zezwalam—» rzekł Lewson, podając rękę staremu republikanowi.

Młody żołnierz, któremu ten niebezpieczny zaszczyt padł w udziele, zbliżył się dla powzięcia instrukcyi dowódcy. Po kilku chwilach odszedł, a towarzysze jego odprowadzali go oczyma, aż póki nie zniknął za górami. Ale cała noc przeminęła, a ogień na szczycie gór nie zajaśniał. Stary ojciec leżał na ziemi obok Lewsona, i podnosząc od czasu do czasu głowę w górę, poglądał ku widokręgowi, i wzdychał... Gdy dzień już zaświtał, starzec podniósł się ciężko z ziemi, i rzekł do oficera:

„Stało się! mój syn zginął w dopełnieniu obowiązku; nie będę go opłakiwał, lecz pomszczę go.”

Zaledwie słowa te wyrzekł, gdy Lewson wskrzyknął z zadziwienia; dwaj żołnierze, których był na zwiady wysłał, wracali właśnie w téj chwili, trzymając drżącego, i jak trup bladego Dżona pomiędzy sobą.

»Mój Boże! Co ja widzę!” zawołał Lewson — »Dżonie! takżeto wracasz...?!

„Przebaczenia, mój ojcze!” zawołał nieszczęsny, padając na kolana. „Przebaczenia! Gdym wszedł na małą dolinę, którą opuszczoną i samotną mniemałem, zdarzyło mi się dojrzeć ich z dala. Było ich wielu, wielu, a wszyscy zbrojni i groźni! Och, natenczas przyszły mi w pamięć okropne męki, jakie oni nieszczęśliwym szpiegom zadają, i mimo woli...»

»Uciekłeś?» krzyknął Lewson.

„Przeklęństwo na ciebie!” zawołał starzec z wściekłością.

„O, mój ojcze!”

„Uciekłeś!” powtórzył Lewson — »a twoje tchórzostwo sprowadziło Anglików na trop, po którym łatwo dojść nas zdołają.”

»Oficerze” — rzekł stary Dick drżącym głosem, pełen rozpaczy. „Ten syn wyrodny zbezcześcił imię i sławę swojego ojca; ale ja zmyję tę plamę, i jakkolwiek stary, zajmę dziś w wieczór jego miejsce, wyjdę na górę..”

»Dziś w wieczór” — przejął jeden z młodszych żołnierzy, potrząsając głową — „jeźli tylko tak długo kul i bagnetów angielskich uniknąć zmożemy.”

»Przeklęcie!” zawołał Lewson — »i tento nikczemnik, ten wyrodek naraził nas na zgubę. Wziąć go pod straż, i wtrącić do owéj ciemnéj jaskini, która mu będzie więzieniem, póki godzina wyroku dlań nie uderzy.”

»Nikczemnik! wyrodek!” mruknął Dick tak stłumionym głosem, iż go ledwie można było zrozumiéć.

Poczém zerwał się nagle, rzucił iskrzący wzrok na Dżona, i zawołał donośnym głosem:

„Ten nędzny nie jest moim synem! Przeklinam go! Własna krew jego niech zmyje hańbę jego żywota.”

Młody żołnierz skłonił przy tém przekleństwie w milczeniu głowę ku ziemi.

Świadkowie téj smutnéj sceny patrzyli niemo, ponuro na ojca i na syna. Starzec, pogrążony w swojéj boleści, pozostał odtąd nieruchomy.

Tak upłynęło kilka minut.

Nagle zmienił się widok. Dżon podniósł głowę w górę, blade jego lica powlekły się gorączkowym rumieńcem, oczy mu ogniem błysnęły, a piękne jego rysy uszlachetniły się wyrazem męzkiéj dumy.

„Mój ojcze” — rzekł śmiałym głosem — „życzenia twoje będą spełnione, moje ostatnie westchnienie zmaże twoję klątwę okrutną.”

Lewson miał zawsze jeszcze nadzieję, że nieprzyjaciel nie odkryje jego stanowiska, i dziś na niego nie natrze; postanowił więc, wyruszyć niepostrzeżenie, polegając na ochronie nocy i ciemności, która szczupłą garstkę amerykańską osłoni, a pomiędzy Anglikami tém większe zamieszanie sprawi. Jakoż zgromadził natychmiast swych towarzyszy i napomniał ich, aby drogo życie swoje sprzedali, gdyby im przebić się nie powiodło.

Chociaż żołnierzom zbywało na żywności, przecież nadzieja zwycięztwa pokrzepiała ich męztwo, i podwajała ich siły. Przez cały dzień ukrywała się garstka walecznych w gęstwinie leśnéj, oczekując co chwila przybycia Anglików i śmierci, która zdawała się wisiéć nad ich głowami.

Gdy noc nadeszła, kazał Lewson po dojrzałém rozważeniu wyroku, jaki miał wydać na Dżona, przyprowadzić więźnia przed siebie. Ale jakże się zdziwił, gdy mu oznajmiono, iż więzień zniknął! W głębi jaskini, w któréj go zamknięto, była szczelina, przez którą, rozszerzywszy ją cokolwiek, przecisnęł się więzień, i uszedł. Ale ślady krwi i szmaty z rozdartéj odzieży, świadczyły o męczarni nieszczęśliwego przy tém umknięciu, chociaż najmniejszy jęk, najlżejsze westchnienie, nie zdradziły go przed strażą.

Ta wiadomość jak piorun poraziła starca; okropna myśl przemknęła mu się przez duszę; gdyby też Dżon przeszedł do nieprzyjaciela! gdyby tajemnicę pobytu swoich spółtowarzyszy odkrył nieprzyjaciołom!

Ależ to zdało się niepodobieństwem, gdyż Dżon był jego synem, a zatém miał zawsze jeszcze otuchę. Lewson zgrzytał zębami ze złości, dowiedziawszy się o ucieczce więźnia, wpadł bowiem na tęż samę myśl, co stary jego ojciec. Spoglądał więc na starca, dziwiąc się jego rozpaczy, lecz nie czuł w sobie dość siły, aby uczynionym mu zarzutem, boleść jego powiększyć.

W téj chwili rozległ się łoskot dwóch strzałów karabinowych, powiększony odbijającém się od skały do skały echem. Wszyscy żołnierze zerwali się czémprędzéj, i wszystkich oczy zwróciły się ku górom...

Po strzałach nastąpiło najgłębsze milczenie. Lewson obawiał się zdrady, i przedsięwziął nie odwlekać pory do natarcia na nieprzyjaciół, lecz owszem wydał natychmiast rozkaz, aby w téjże chwili wyruszyć...

Wtém nagle zabłysła jasna na niebie łona, jakby od wielkiego ogniska, széroko i coraz szérzéj, właśnie w téj saméj stronie po widokręgu rozlana, kędy wczoraj Dżon się był wyprawił.

Młodemu oficerowi prawie dosłyszalnie serce zapukało, trwoga i nadzieja owładały go razem. Jeżli towarzsze jego po tamtéj stronie obozu nieprzyjaciół, dostrzegą łonę, tedy ocalał ze swoimi. A w téj chwili wypłynął księżyc zpoza ciemnych szczytów ogromnych drzew pustyni leśnéj, i zdawał się mile na walecznych rycerzy wolności poglądać...

„Koledzy!” — zawołał Lewson — »jeźli godzi się wróżbom wierzyć, tedy zapowiadają one zupełną klęskę naszym ciemięzcom, a nam świetne zwycięztwo!”

Tymczasem łona coraz jaskrawiéj pałała, a przy blasku księżyca ujrzano jakiegoś nadbiegającego człowieka. Atoli krok jego był nierówny i chwiejny; zatrzymywał się co chwila, skłaniał w tył głowę, a lewą rękę cisnął do piersi, i biegł znowuż, jakby nadnaturalną siłą gnany. Nareszcie po ostatniém gwałtownem wytężeniu, padł u nóg dowódzcy amerykańskiego. Byłto Dżon... Lewson nachylił się ku niemu:

„Mój wodzu” — ozwał się biédny młodzieniec słabym głosem — »jam-to!” — i wyciągnął lewą rękę ku stronie, kędy łona na niebie biła, gdyż prawą rękę miał zgruchotaną. »Jam-to, mój wodzu!... Patrz, widzisz tam.... ogień.... ale Anglicy dostrzegli mię.... ugodziła mię kula.... jednak uszedłem... i dostałem się do namiotów oddziału, stojącego w górach.... daléj iść nie mogłem... rozniecíłem ogień.... lecz z wielką trudnością, gdyż prawą rękę miałem ranioną... niezdołała utrzymać krzesiwa.... Ależ pali się przecie.... Świetny-to

znak mój wodzu, nie prawdaż?... Wracałem uradowany, iż może błąd mój naprawię.... obowiązku mego dopełnię... gdy wtém u skrętu drogi...«

Tu chwycił się ręką za piersi; zdjęto czémprędzéj skrwawioną odzież z niego... Na piersiach dały się widzieć dwie duże rany... Stary Dick padł przy nim na kolana, aby go wesprzéć i nieść mu pomoc...

»Mój wodzu« — ozwał się Dżon znowu głosem umiérającego — »czy mi przebaczasz?«

»Waleczny żołnierzu« rzekł Lewson, łzę ocierając.

»O, dzięki« — przemówił umiérający, z ostatniém sił wytężeniem podnosząc się, aby podaną sobie ująć rękę. »Dzięki, mój wodzu... nie jestem tchórzem, nie prawdaż?.... A tyż, ojcze, czy mię jeszcze przeklinasz?....«

»Mój synu, mój biédny synu!« — wołał Dick, głęboko wzdychając.

Tu działowy wystrzał armii amerykańskiéj oznajmił, iż sygnał postrzeżono. Lewson wstał, odzywając się z radością:

»Jesteśmy ocaleni!—»

»Umarł« — rzekł stary Dick, opuszczając martwą rękę syna.

»O, sprawimy mu pogrzeb krwawy« — zawołał Lewson. »Do broni, towarzysze!«

Nazajutrz odnieśli Amerykanie pod Princetown krwawe zwycięztwo.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 28my i zawiéra: 1) Marcelego Dłużniewskiego (w myśl zasad Meisnera) Elektryka podstawą główną wzrostu roślinnego. 2) O kretach pospolitych. (wyimek z dzieł księdza Krzysztofa Kluka). 4) Józefa Żywickiego uwagi nad artykułem: »Napoleona Raciborskiego do właścicieli gorzelń.« 5) Jak można przechować kartofle na późniejsze lata. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 7) Uwiadomienie potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 15ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Poeta. Ustęp. Wiersz przez J. Szymańskiego. 3) Artykuł na wezwanie, przez W. P. 4) Nowsze powieści polskie. 5) O piśmie czasowém »Biblijoteka nauk. zakładu imienia Ossolińskich, przez J. Dobrzańskiego (Dokończenie).

Tom drugi »*Rozpraw c. k. galic. Towarzystwa gospodarskiego*« który témi dniami prasę opuścił, zawiera: 1) Protokół czynności 4go ogólnego zgromadzenia Towarzystwa, dnia 29 stycznia 1847. 2) Sprawozdanie z czynności komitetu, czytane przez Maurycego Kraińskiego na ogólném zgromadzeniu z 29 stycznia. 3) Edwarda Dulskiego wniosek względem wybrania komisyi do poprawy pługa. 4) Sprawozdanie z podróży do Gracu na 10te zgromadzenie gospodarzy niemieckich, przedsięwziętéj przez Tytusa br. Dzieduszyckiego. 5) Maksymilijana Oborskiego uwagi nad uprawą turnipsu angielskiego. Z uwagami komitetu. 6) O uprawie waleryjany, najwcześniejszéj rośliny pastewnéj, przez Ferd. Stiebera. 7) O uprawie bulwy, przez Ferd. Stiebera, z uwagami komitetu. 8) O rozmnażaniu ziemniaków z gałązek, przez Romana Puzynę. 9) Sposób doświadczony léczenia rogacizny na wzdęcie. 10) Jakóba Fennela uwagi o bydle angielskiém, przez Seweryna Smarzewskiego. 11) Rozbiór makuchów lnianych, z ang. tłumacz. Sewer. Smarzewski. 12) Emila Audrego z Wiédnia uwagi nad chowem bydła. 13) Konstantego St. Pietruskiego odpowiedzi na pytania, zawiérające w sobie plan krótki do jednostajnego opisu pojedyńczych gospodarstw, zastosowane do pasma gór karpackich, a mianowicie do Podhorodec. 15) O pszczelnictwie w dekanacie gr. kat. Skolskim, przez ks. Jana Bielawskiego. 15) Pogląd na przeszłoroczną zarazę kartofli., przez dr. Aug. Kunceka. 16) Wiadomości przemysłowo-gospodarskie.

Z Rzeszowa. Już od kilku miesięcy wyszło na widok publiczny dziełko z objętości wprawdzie niewielkie, z przedmiotu pospolite, z układu bardzo proste i pojedyńcze, ale dla treści i skutków, jakie z czasem pomiędzy naszym ludem wiejskim przynieść może, bardzo ważne. — Jestto »*Jaś Sadowski, czyli dostateczna nauka o hodowaniu drzew owocowych dla użytku młodzieży wiejskiéj*, przez ks. M. Konkolowskiego, kapclana przy c. k. sądzie karnym rzeszowskim. W Rzeszowie, drukiem Frań Skielskiego 1847.« Pisemko to w sposobie zwykłéj rozmowy na wsi prowadzonéj ułożone, przeznaczone jest dla użytku młodzieży wieśniaczéj, i to stanowi oprócz wartości umniczéj najwalniejszą jego zaletę. — Stan ludu naszego, który się teraz rozwija i w nową epokę przechodzi, jest bardzo ważny. Kierunek, jaki mu rządy i duch czasu nadają, może przynieść błogie plony nadal, jeżeli wszyscy wspólnie ku dobremu dążyć będziemy. Czują to już poniekąd wieśniacy i domagają się sami zaprowadzenia szkółek tam, gdzie ich jeszcze niémasz. Tak jedna z moich gromad prosi mię teraz z własnego popędu o szkółkę dla siebie; i tato okoliczność właściwie pobudziła mię do napisania tych kilku wiérszy. Jakoż w téj okolicy nad Sanem i Wisłą jest już niemało dzieci chłopskich, które czytać umią. Popęd do tego ciągle ze strony rządu dawany i własna chęć włościan rozszérzać teraz będą bez przerwy naukę pomiędzy nimi. Ale cóżmy im damy do czytania? Książkę do nabożeństwa? Dobrze; jest to wiele, ale nie wszystko. Teraz potrzeba czegoś więcéj jak samego wzdychania do nieba. Teraz potrzeba nauki, stosownéj do stanu i położenia, w jakim się człowiek znajduje. A gdzież taka książka dla kmiotka? Jedno i jedyne, i z tego względu za najważniejsze pismo uważam »Szkółkę niedzielną«, — a po niém »Naukę o hodowaniu drzew owocowych ks. Konkolowskiego.« Dziełko to z obcego i własnego doświadczenia autora ułożone i sposobem zwykłéj mowy z dziećmi napisane, odpowiada zupełnie celowi, dla którego jest wydane. Rząd rosyjski ogłosił w tym roku konkurs wyznaczywszy nagrodę za najlepsze dla ludu dzieło. W Wrocławiu święcono dzień 18 października 1846 otworzeniem biblijoteki dla ludu. Niemce i Francyja urządzają księgozbiory dla swoich włościan. Jedno z peryjodycznych pism (*Illustrirte Zeitung*, 5. czerwca 1847 Nro. 205) podaje w bieżącym miesiącu sposób zaprowadzenia i utrzymywania książek po wioskach. Krzątajmy się tedy i my, jak możemy, w tym względzie. To, co dla nich dobrego zrobimy, spłynie potém i na nas w obfitéj mierze. Przegląd dziełka ks. Konkolowskiego pod względem polszczyzny zostawiam recenzyi naszych literatów; tyle tylko dodaję, że autor, znany już zaszczytnie z dwóch dzieł treści religijnéj, równie umiał pojąć położenie młodzieży wieśniaczéj i wysłowić zasady ogrodnictwa zwy-

kłą mową, jak przepolszczyć w roku 1844 piękne dzieło Silberta stylem Skargi i Wójka. R.

Hrabia Maciéj Wielhorski — mówi »Nowa berlińska gazeta muzyczna« — wielki i prawdziwie spaniałomyślny protektor muzyki, przybył niedawno z Petersburga do Berlina, aby tu, jak słychać, poczynić przygotowania do wielkiego festynu muzycznego, mającego się odbyć w Petersburgu, pod dyrekcyją Majerbera i Mendelsona, przy spółuczestnictwie najsłynniejszych śpiewaków i wirtuozów europejskich. Będąc sam znakomitym wiolonczelistą, jest hr. Wielhorski może jedynym w Petersburgu magnatem, który nie tyle losem wsławionych już i okrzyczanych, ile początkujących, i rzeczywistych talentów się opiekuje. Gościnny — i to w najpiękniejszém i najobszerniéjszém słowa tego znaczeniu gościnny dom hrabiego Wielhorskiego stoi otworem każdemu artyście, a dla niejednego z nich światły i utalentowany mecenas staje się serdecznym przyjacielem, doradzcą i pomocnikiem w potrzebie. Nie małéj też wagi i bardzo dobroczynnym jest wpływ hrabiego we wszystkich sprawach artystycznych u dworu.

Oryjentalne wyobrażenia w izbie deputowanych. Bou-Maza znajdował się, jak wiadomo, na kilku posiedzeniach izby deputowanych, w któréj właśnie nad budżetem algierskim rozprawiano. Gdy pan Garnier-Pagès przy tém zlekka o pewnych listach nadmienił, które według powszechnych domysłów król do Algieru miał pisać, i dodał, że sądząc po wszystkiém, co w Afryce się dzieje, domysły te są słuszne; powstało głośne szemranie w izbie. Bou-Maza zapytał, co to znaczy, i wytłumaczono mu to. »Jako!« zawołał oburzony — »i kiedyż sułtan turecki każe temu wścibskiemu człowiekowi głowę oderznąć?« — Z wielkim zadziwem dowiedział się, że to ani dziś ani jutro nie nastąpi, i owszem wcale się nigdy nie stanie, a szemranie obecnych było tylko protestacyją rozgniewanych na pana Garnier-Pagès wezyrów. Nie wiémy czy Bou-Mażę to przekonało, że przecież lepiéj i bezpieczniéj żyć w Paryżu niż pod namiotami Abd-el-Kadera.

Przepych teatralny. Alfons I, książę Ferrary, był wielkim miłośnikiem zabaw scenicznych, które na jego nadwornym teatrze z niesłychanym wyprawiano przepychem. Jeźli dziś się dziwimy, gdy przy świetném przedstawieniu któréj z modniejszych oper, stu chórzystów i tyleż statystów na scenę wystąpi; tedy zważmy, iż w dawniejszych czasach w niejednym włoskim teatrze jeszcze więcéj na podobne przedstawienia łożono. Wspomniony książę Alfons wyprawił jednego razu, na cześć urodzin swojéj małżonki zabawę teatralną (*festa teatrale*)« pod napisem: »Tryjumf Zenobii,« pióra: Ottavia Rinuccini, z muzyką Giorgia Corsi. Dla wyobrażenia przepychu, z jakim tę »zabawę« przedstawiono, dość będzie opisać jednę scenę. W końcu pierwszego aktu wystąpiły następujące chóry: naprzód 30 dziewic, daléj 100 rycerzy pieszych, 30 jeźdźców w kosztownym stroju syryjskim; w samym orszaku tryjumfalnym: 40 hornistów, 12 trębaczy, 12 fletnistów, 6 grajków na szczególnie głośnych instrumentach oryjentalnych, 24 chorążych, 2 lwy ułaskawione i 1 słoń z menażeryi książęcéj. W rydwanie Zenobii było 6 koni uprzężonych; za nim szło 6 wozów, po parę koni w każdym, z jeńcami dostojnymi, i z łupami; wreszcie wiele innych wozów orszakowych. Dekoracyje były nadzwyczajnie pysznie malowane i zręcznie urządzone. W głównych rolach występowali sami kawalerowie dworscy i damy dworskie.

Początek wyrazu bankrot. Most Rialto w Wenecyi bywał w dawniejszych czasach zapełniony kupcami, z których każdy miał tu osobną ławę, aby przy rozpłacaniu się, pieniądze na niéj wyliczać. Ponieważ tam najznakomitsi kupcowie się zgromadzali, przeto wszystkie znaczne interesa na tym moście się odbywały, i każdy prawie spekulant musiał swoją ławę tam utrzymywać. Jeźli się więc zdarzyło, że który z nich o wyznaczonéj godzinie wypłaty uczynić nie mógł, i tak poniekąd stanowisko swe tracił, tedy rozbijano mu ławę, *banca rotta*, z czego późniéj dzisiejszy wyraz powstał.

Skutki klimatu. Drzewo mirtowe, u nas krzew mały, dochodzi na wyspie Van Diemen wielkości 200 stóp, i rozrasta się w pień, mający 30—40 stóp objętości. Drzewo to bywa wtedy podobne do cedrowego. — Chińczycy znają sztukę hodowania sosen miniaturowych, które będąc zupełnie do amerykańskich olbrzymich drzew tego rodzaju podobne, mają tylko 5—6 cali wysokości. Możnaby tedy nazwać Chińczyków »potwarcami natury« ponieważ jéj władzy ujmują.

Rozkazy niewypełnióne. O niedawno zmarłym, tak ze sławy wojskowéj jakoteż i z cnót obywatelskich powszechnie szacowanym i lubionym jenerale *Drouet* w Nancy opowiadają z ostatnich chwil jego życia anegdotę następującą. Stary i wierny jego służący Józef, który nie odstępował go od zaczęcia zawodu wojskowego, uzyskał był sobie przeto prawo rozmowy nieco poufałéj. Gdy jenerał na cztery tygodnie przed śmiercią rozmawiał z nim o blizkim swoim zgonie, odezwał się Józef: »Jestem zobowiązany przez pewną znajomą osobę z Laksonu, donieść jéj natychmiast o śmierci pana jenerała; żąda ona koniecznie być świadkiem tak pięknego pogrzebu.« — »Powiedz téj twojéj znajoméj osobie, że sobie daremną nadzieję czyni; rozporządziłem bowiem w moim testamencie, aby mój pogrzeb odbył się bardzo skromnie i pojedyńczo.« — »I myślisz pan jenerał, że go ktoś po śmierci usłucha? Pomimo rozkazu w testamencie, będziesz pan jenerał miał pogrzeb okazały.« — »Więc ty sądzisz, że cały świat tobie jest podobny, co moje rozkazy wtedy tylko wypełniasz, kiedy się tobie podoba?« — »No, obaczysz pan jenerał sam« odpowiedział Józef. — Jenerał zaśmiawszy się, rzekł: »ja obaczę? głupcze! i wtedy, kiedy już umrę?« — Przecież miał słuszność stary sługa, bo cała ludność z Nancy i z okolicy, towarzyszyła skromnemu pogrzebowi jenerała, cnotliwemu mężowi i dobroczyńcy ubogich.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.